



Jan

HIMILSBACH

OPOWIADANIA ODNALEZIONE

Jan Himilbach

OPOWIADANIA ODNALEZIONE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-90-9

Copyright © Michał Ruszczyk

E-book ten zawiera wybrane opowiadania Jana Himilbacha zaczerpnięte z książek „Monolog i inne zapiski” i „Rozwątka i inne szkice” (Vis-a-vis Etiuda, Kraków 2015, 2016), które zostały odnalezione i opublikowane wiele lat po śmierci autora. Nie ma ich w tomie „Opowiadania zebrane” gdyż zostały odnalezione dopiero po opublikowaniu jego pierwszego wydania (Vis-a-vis Etiuda, Kraków 2009).

Spis treści

1. Van Gogh
2. Wola Boska
3. Podróż w zaświaty
4. Monolog
5. Świadkowie
6. Rybak
7. Ludzie spod sztancy
8. Dziki lokator
9. Syn marnotrawny
10. Jeździec Apokalipsy
11. Lombard złudzeń
12. To nasza dziewczyna
13. Żądam prokuratora!

Van Gogh

Było gorąco, więc wstąpiłem z kolegami na małe piwko, a kiedy kelner postawił na stole trzeciego litra, ja już nie piłem. Nie to zdrowie. Kiedyś człowiek mógł wypić, nie to co dziś. Dziś wypije litra na głowę, półtora i musi uciekać do domu. Z tego upału oblużowało mi się coś we łbie. Zawezwano milicję. Siłą wyprowadzono mnie z lokalu do radiowozu. Wśród gapiów dostrzegłem uśmiechniętą gębę Heńki Kuwczyńskiej. Zakarbowałem sobie to w pamięci. Kilka razy powtórzyłem sobie jej nazwisko. Nie wiem dlaczego, pomyliła mi się ona z Kupczyńskim, a Kupczyński z Van Goghiem. W drodze do komisariatu bez przerwy powtarzałem nazwiska: Kuwczyńskiej, Kupczyńskiego i Van Gogha i kiedy spisywano ze mnie protokół, zostałem spisany nie jako ja, ale jako Van Gogh.

Następnego dnia rano do celi wszedł oficer, popatrzył na mnie spojrzeniem niezmaconym żadną myślą i na kilku innych opryszków zamkniętych ze mną w jednej celi i zapytał:

– Van Gogh jest?

Nikt mu nic nie odpowiedział. Wszyscy podejrzliwie popatrzyli na siebie. O tym, co było wczoraj, na śmierć zapomniałem. Oficer jeszcze dwa razy przychodził do celi pytać o Van Gogha. Za drugim razem powiedział do profosa:

– Co jest do kurwy nędzy. Stan się zgadza, a faceta nie ma.

Po wyjściu oficera jakiś cwaniaczek o niskim czole, nie przestając biegać po celi więziennym truchtem od zakratowanego okienka do okutych blachą drzwi, powiedział:

– Kłopot mają. Dał im dyla kurwom.

Około południa wezwano mnie do dyżurki. Za biurkiem siedział ten sam oficer, pochylony nad arkuszem zapisanego papieru. Spojrzał na mnie i zapytał o nazwisko. Powiedziałem. Zapytał o dowód osobisty, wyjaśniłem mu, że zgubiłem, a nowego nie zdążyłem wyrobić.

– A kto to jest Van Gogh?

Jego pytanie zaskoczyło mnie. Nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć.

– Pytam się was jak człowiek! – ryknął nieludzko.

Wyjaśniłem, że malarz.

– Gdzie mieszka?

– Ostatnio pod Paryżem.

– Aha. A Kupczyński, kto to jest?

– Też malarz.

Moje odpowiedzi mnie samego zaczęły śmieszyć, a oficera wyraźnie wkurwiać.

Wyglądało to, jakbym celowo chciał go ośmieszyć w obecności podwładnych. W jego twarzy dostrzegłem wściekłość, a na ustach pianę. Wyjął z szuflady składaną pałkę oficerską i uderzył w blat biurka.

– To wariat – powiedział jakiś sierżant. – Dla niego i ja jestem malarzem, i ty – powiedział, zwracając się do oficera.

Jego diagnoza uratowała mnie. Zwrócono mi depozyt: pasek od spodni, potłuczone lustro z fotografią uśmiechniętej Brigyt Bardot i wyszczerbiony grzebyk kieszonkowy. Jeden z milicjantów ubrany po cywilnemu w długą skórę i zielony kapelusik z piórkiem zasnurował mi pantofle na nogach, inny zapiął pasek na spodniach, a oficer rozkazał sierżantowi, który mnie obronił, żeby wyprowadził mnie z komisariatu gdzieś w boczną ulicę i zostawił. Tak też się stało.

Profos otworzył żelazną kratę. Sierżant mocno wziął mnie pod rękę i wyprowadził z budynku. Szliśmy ulicą jak para zakochanych. Nigdy nie czułem się tak bezpiecznie jak w tej chwili. Przy czerwonych światłach przeszliśmy skrzyżowanie. Nie było tu wcale ruchu, ulica

wolna była od ludzi i pojazdów. Sierżant puścił moje ramię i zawrócił, a kiedy się obejrzał w moją stronę, zaszalutował mi. Na przyszłość.

Wola Boska

Jest późna wiosna, początek lata. Słoneczny dzień, słońce stoi w zenicie. W kotlinie opadającej łagodnie ze wszystkich stron, wśród kwitnących sadów, wzdłuż piaszczystej drogi ciągnie się wieś mazowiecka, wieś średnio zamożna.

Pośród wielu niskich drewnianych chałup krytych słomianą strzechą i szerniałym gontem tu i ówdzie dostrzec można nowo postawiony murowany budynek pokryty cynkową blachą połyskującą w słońcu.

Murowańce stoją w pewnej odległości od drogi, ukryte jakby specjalnie przed ludzkim okiem przez pomalowane wapnem jabłonie pokryte kwieciem, w którym uganiają się pszczoły z pobliskiej pasieki.

Na wielu dachach domów mieszkalnych, pośród zainstalowanych anten telewizyjnych dalekiego zasięgu, można dostrzec bocianie gniazda, a w nich młode pisklęta.

Piaszczystą drogą przez wieś jedzie kilka furmanek. Dwie czy trzy są na żelaznych obręczach, reszta na ogumionych kołach, ale wszystkie wozy są zaprzężone w dwójkę koni, z tym że niektóre wozy mają doczepkę. Jadący poubierani są odświętnie, kobiety kolorowo, w chustach na głowach, mężczyźni zaś, szczególnie młodzi, w dobrze skrojone garnitury. Konie umajone, z podwiązanymi ogonami idą noga za nogą, niepoganiane specjalnie przez woźniców, żeby nie wzbijać i tak unoszącego się kurzu z wyschniętej drogi.

Ludzie na wozach kłaniają się tym, co wychodzą ze swych domostw przypatrzeć się jadącym. Widać, że wszyscy się tu znają i wzajemnie szanują. W pewnej chwili jadący na wozach mijają dom, przed którego wejściem stoi oparte o ścianę wieko trumny. Mężczyźni uchylają czapek, karawana jedzie dalej.

Wozy skręcają z drogi i wjeżdżają na wielkie podwórko, gdzie stoi już szereg innych wozów i kręci się mnóstwo ludzi ubranych odświętnie. Wszyscy radosnymi okrzykami witają przyjezdnych. Mężczyźni dziarsko chwytają kobiety na ręce i stawiają na ziemi, całują. Pomagają przenieść przywiezione prezenty z wozów do mieszkania. Wśród przywiezionych prezentów widać komplety bielizny pościelowej wykończonych drogimi koronkami, pudło ze sztućcami, ktoś nawet przywiózł becik dla przyszłego noworodka, a ktoś inny jeszcze kołyskę. Przyjezdni pośród ukłonów i uścisków otrzepują się z kurzu i odprowadzają zaprzęgi w koniec podwórza, pomiędzy maszyny rolnicze, robiąc miejsce dla tych, co mają jeszcze przyjechać. Pod murowaną ścianą domu widać kilka opartych motocykli i rowerów z bibułą wetkniętą między szprychy. Za ślepa ścianą murowańca zebrała się gromadka mężczyzn. Zbici w ciasne kółko na nic jak gdyby nie zwracają uwagi. Pośród nich z rąk do rąk krąży setkowy kieliszek. Jeden z mężczyzn nalewa do niego po brzegi wódkę z ukrytej pod marynarką butelki. Nieco dalej na zwalonym pniu wyschniętego dębu miejscowi muzykanci stroją swoje instrumenty. Wszędzie panuje gwar i radosne podniecenie.

W głębi ogrodu nieopodal domu ustawiono długie stoły, które od zieleni ostro odcinają się bielą obrusów. Stoły uginają się od jadła ułożonego na wielkich półmiskach. Kilkunastoletnie dziewczynki w bieli z wianuszkami na głowach gałązkami bzu odganiają od stołów natrętne muchy. Wzdłuż stołów z braku dostatecznej liczby krzeseł ustawiono długie, zbite naprędce ławy z nieheblowanych szerokich desek.

Wewnątrz domu królują same kobiety. Starsze zwijają się przy wielkiej kafłowej kuchni, na której skwierczy w tłuszczu pieczone mięso, a w bogato umeblowanych przestronnych pokojach kobiety młode poubierane odświętnie w długie atłasowe suknie o różnych kolorach i odcieniach.

W wielkim środkowym pokoju przed lustrem umieszczonym w trzydrzwiowej szafie z ciemnego orzecha w otoczeniu piskliwych i radośnie podnieconych panien ślubnych stoi panna młoda o zmęczonej twarzy, poddająca się biernie troskliwym rękóm koleżanek, które poprawiają na niej długą białą suknię i welon zwisający jej od ramion. Na ufryzowanej

głowie panny młodej tkwi zatknięty fantazyjnie wianuszek upleciony starannie z kwiatów polnych, na który daremnie usiłuje usiąść zabłąkana pszczoła.

Panna młoda dostrzega w lustrze pszczołę krążącą nad głową, jej twarz dotychczas nijaka nabiera życia. Oczy stają się nagle uważne i czujne, pszczoła na sekundę przysiadła na martwym kwiatku, ale natychmiast podrywa się i krąży dalej. Panna młoda zachowuje pozorny spokój, ale między nią a pszczołą wywiązuje się walka. W pewnej chwili panna młoda robi nagły unik głową i energicznym ruchem ręki z góry uderza pszczołę, która przetrącona pada na podłogę, robiąc jeszcze łapkami i skrzydełkami. Panna młoda wolnym ruchem podciąga do góry długą suknię, spod której wysuwa się ślubny pantofelek, i rozgniatą czubkiem wijącą się pszczołę. Na podłodze pozostaje ciemna plamka. Panna młoda z zawiedzioną miną znowu spogląda w lustro, jej twarz po chwili pokrywa wyraz znudzenia. W lustrze, przed którym stoi, odbija się całe pomieszczenie, krzątające się dziewczyny i drzwi do następnego pokoju, w których nagle pojawia się narzeczony.

Pan młody, szczupły, wysoki blondyn o przyjemnym wejrzeniu, lat około trzydziestu, sprawia wrażenie człowieka, dla którego własny ślub jest jeszcze jedną z wielu okazji do popicia i zabawy. W chwili wejścia do mieszkania łapie pierwszą z brzegu dziewczynę i siłą przyciąga ją do siebie. Dziewczyna w pierwszej chwili bez zastanowienia poddaje się biernie, pan młody przeciągle całuje ją w usta, dziewczyna uświadamia sobie nagle, że nie jest to zwykły pocałunek, zaskoczona sytuacją próbuje się uwolnić, ale na próżno, wpija się więc łokciami w pierś mężczyzny i stara się go odepchnąć od siebie.

– Jeszcze jestem wolny – mówi pan młody. – I wszystko mi wolno.

Całą tę scenę widzi w lustrze panna młoda, ale zachowuje spokój, kiedy nagle staje za nią z tyłu jej przysły małżonek. Mężczyzna pochyla się nad jej karkiem i ledwo widocznie muska go wargami. Potem spogląda na zegarek, jest już późno, od kilkunastu minut powinni stać już przed ołtarzem, a do kościoła, którego wieże widać daleko za oknem, jest ponad trzy kilometry. Pan młody ponagla wszystkie kobiety, a szczególnie przysłą małżonkę, dla której ta chwila stania przed lustrem w sukni ślubnej jest jedną z niewielu w jej życiu, na którą czekała od dość dawna.

* * *

Ta sama wieś i ten sam dzień. Słoneczny i ciepły. Na skraju pod lasem w chałupie krytej szerniałą słomą po pokoju przechadza się młody żołnierz z czynnej służby w stopniu kaprała. Minę ma taką, jakby od dłuższej chwili na kogoś czekał. Wreszcie zdejmuje z głowy czapkę i rzuca ją niedbale na szerokie łożo małżeńskie zasłane wzorzystą kapą, na której w głowach piętrzą się w piramidę koronkowe poduchy. Żołnierz siada przy stole na giętym krześle i z uwagą zaczyna powoli rozglądać się po ścianach mieszkania wyklejonych starą tapetą, po obrazach świętych za szkłem w poczerniałych ramach, które miejscami jeszcze zachowały upstrzone przez muchy złoto. Żołnierz wyciąga z kieszeni spodni pogniecioną paczkę papierosów i zapala jednego, przyciąga bliżej siebie kryształową popielniczkę stojącą na stole i rzuca do niej zagaszoną zapałkę. Chciwie zaciąga się dymem, a potem dla zabicia czasu puszcza kółka i z uwagą przypatruje się im, jak oddalają się od niego i rozplývają w smugach słońca wpadającego do wnętrza przez uchylone okno. Jego uwagę zwracają ciężkie kroki w kuchni obok za drzwiami, które w pewnej chwili pchnięte ramieniem starszego mężczyzny otwierają się gwałtownie na całą szerokość. W drzwiach staje stary z uśmiechniętą twarzą. W obydwu rękach trzyma butelkę z wódką, kieliszki, nóż, talerz, chleb i kawał salcesonu. Stary kładzie to wszystko na stole przed żołnierzem i wraca do kuchni, skąd przynosi słoik z marynowanymi grzybami. Bierze krzesło i siada przy stole. Co jakiś czas rzuca ukradkowe spojrzenie na żołnierza, spojrzenie pełne zadowolenia.

– Masz jakąś fotografię, to zostaw – mówi stary, nalewając wódkę do kieliszków. – Matka jak wróci z pielgrzymki, to się ucieszy.

Żołnierz wyciąga książeczkę wojskową z kieszeni na piersi i wyjmując z niej niewielką fotografię, na której stoi w otoczeniu kolegów. Kładzie zdjęcie na stole przed starym. Stary rzuca krótkie spojrzenie na zdjęcie i odsuwa je na bok, unosząc kieliszek. Piją, a potem w milczeniu sięgają obaj po chleb, który każdy kraje sobie i nakłada salceson. Jedzą w milczeniu. Wypijają po drugim kieliszku. Stary zagaduje syna o wojsko. Żołnierz niechętnie odpowiada. Jego zachowanie peszy starego.

– Tak, rozumiem – powiada stary. – Tajemnica wojskowa. Nie możesz mówić.

Żołnierz w milczeniu przytakuje głową.

– Ja jak byłem w wojsku, też nie mogłem mówić.

Żołnierz wypytuje starego, co słyhać we wsi. Stary w odpowiedzi wzrusza ramionami:

– Ano nic nie słyhać. Młody Kulesza żeni się dzisiaj po raz drugi – wyjaśnia Stary i po chwili milczenia dodaje, że zmarło się Rogalskiemu. Zapada między nimi dłuższe milczenie, podczas którego syn z uwagą przypatruje się ojcu z taką miną, jakby szukał w twarzy starego jakiejś wyraźnej zmiany.

– Coś z ojcem jest niedobrze.

– Stary się robię, i to wszystko.

– Nie mogę się z ojcem dogadać.

Znowu zapada milczenie. Stary ponownie nalewa do kieliszków. Żołnierz częstuje ojca papierosem, Stary w zamyśleniu wykrusza papieros, potem wygładza go i wyciąga ze środka bibułki niepocięty badył. Syn podaje ojcu ogień, poczem podnosi się od stołu. Otwiera szafę i przegląda w niej odzież starannie zawieszoną na wieszakach. Wśród wielu ubrań letnich i palt zimowych jest jedno ubranie w worku celofanowym. Żołnierz wyciąga ubranie z szafy i rzuca je na zasłane łoże rodzicielskie. Potem z głębi ubrań wyciąga tekturowe pudło obwiązane kilkakrotnie papierowym sznurkiem.

Żołnierz powoli zaczyna się rozbiierać. Odpina pas i ściąga z siebie mundur. Rzuca to na stół, przy którym siedzi Stary. Wzrok Starego w pewnej chwili pada na odznakę wzorowego cekaemisty przypiętą do munduru. Stary wyciąga rękę i delikatnie brzuszcami palców gładzi odznakę.

– Daj mi to – zwraca się z prośbą do syna.

– Co, ojciec?

Stary cofa rękę. Zmieszany przypala nowego papierosa, mimo że jego papieros leżący w popielniczce wytlął się do połowy i tli się w dalszym ciągu.

Żołnierz siada na krześle przy stole i rozsznurowuje wysokie buty ze spinaczami, a następnie ściąga spodnie i stojąc boso na onucach, zostaje w samym tylko podkoszulku i tanich „kazionnych” spodenkach. Z góry spogląda na pochyloną postać ojca i na odznakę. W milczeniu sięga po mundur, odkręca od niego odznakę i daje ją ojcu, a sam przechodzi do kuchni golić się i myć.

Stary pozostawiony w pokoju przy stole nalewa sobie do kieliszka i wypija, potem z uwagą przygląda się fotografii syna w mundurze w otoczeniu kolegów i jego wzrok znowu pada na odznakę leżącą na rozłożonej, spękanej i pełnej odcisków, dłoni. Wraca syn ogolony i umyty. Wyciąga z worka celofanowego ubranie. Złożone we dwoje spodnie przykładają do biodra, jakby sprawdzał, czy przypadkiem nie wyrósł z ubrania. Potem wciąga spodnie, zakłada nienoszoną jeszcze ortalionową koszulę i na nogi nowe pantofle z pudła obwiązanego papierowym sznurkiem. W mankiety wpina srebrne spinki i wiąże krawat.

– A ojciec nie przebiera się?

– Przebieram.

Syn staje ubrany po środku pokoju. Zbiera mundur rozrzucony po pokoju i wynosi wszystko do kuchni, a następnie wkłada marynarkę i staje przed lustrem z grzebieniem w ręku.

– A ty dokąd idziesz? Na pogrzeb czy na wesele? – zwraca się Stary do syna.

- Że też ten Rogalski nie miał kiedy umrzeć.
- Widocznie Bóg tak chciał.
- Pójdę chyba na wesele. Jestem drużbą. Nie mogę nie iść.

Żołnierz wychodzi z mieszkania, idzie przez podwórko do stodoły, otwiera wierzeje, gdzie na klepisku oparta o wialnię stoi nowa „jawa”. Żołnierz wiechciem słomy oczyszcza motor z kurzu i wyprowadza go na podwórko. Podnosi na nóżkach i zamyka stodołę. Sprawdza paliwo w baku, wciska kluczyk wetknięty w stacyjkę i naciska rozrusznik. Motor zapala od pierwszego razu. Żołnierz dosiada motor i opuszcza podwórko. Jedzie twardą ścieżką tuż przy ogrodzeniach do domu, w którym ma odbyć się wesele.

* * *

Solidnie zbudowany dom z drewna, przed którego wejściem stoi oparte o ścianę wieko trumny. Przed domem stoi kilkanaście osób: kobiety i mężczyźni. Przeważają ludzie starsi. Mężczyźni palą papierosy po gospodarsku, to znaczy trzymają papierosy żarem wewnątrz dłoni. Każda z kobiet zaopatrzona jest w tanią książeczkę od nabożeństwa. Jakiś młody chłopak ma przewieszony przez ramię wielki aparat fotograficzny. Niektórzy z mężczyzn kończą palenie, z przyzwyczajenia starannie rozdeptują papierosy i wchodzą do mieszkania, skąd dobiega płaczliwy śpiew odprawianych modlitw.

Nagle z mieszkania wychodzi dwóch tęgich mężczyzn w średnim wieku. Zabierają wieko spod domu i wnoszą je do mieszkania. Przykrywają trumnę. Mieszkanie jest pełne wiązanek i wianków. Wokół trumny ustawionej w pokoju na stole płoną świece. Na ścianie pomiędzy obrazami świętych zatrzymano wskazówki ściennego zegara z powodu śmierci gospodarza. Wahadło zegara tkwi nieruchomo za szlifowanym szkłem. Po przeciwnej stronie zasłonięto czarną materią wielkie lustro w dębowych ramach. W mieszkaniu pojawia się znajomy kościelny z miejscowej parafii z krzyżem. Jest to znak, że czas już w drogę do kościoła, a potem na parafialny cmentarz. Ludzie podnoszą się z klęczek. Mężczyźni unoszą trumnę i omijając stół, podchodzą do otwartego okna, za którym stoi wóz zaprzężony w parę rosłych karych koni. Zwierzęta strzygą uszami i niecierpliwie przebierają nogami. Ludzie ustawiają trumnę na wymoszczonej słomą furmance. Tutaj też jak na weselu ten i ów, nie czekając konselacji, wypił po kilka głębszych. Kondukt żałobny rusza z podwórka i wyjeżdża na piaszczystą drogę. Przodem kroczy kościelny z uniesionym ku górze krzyżem, na którym wisi mieniąca się w słońcu posrebrzana pasyjka, za kościelnym posuwa się wóz z trumną, a za wozem idą ludzie nie środkiem drogi, lecz po bokach ścieżkami. Nad konduktem unosi się śpiew nieskładny, urywany. W połowie wsi kondukt skręca w boczną drogę, gdzie na horyzoncie widać dwie strzeliste wieże kościelne.

* * *

Murowany dom pod blachą, gdzie w dalszym ciągu trwają przygotowania weselne. Na dziedzińcu jest więcej furmanek, niż ich było poprzednio. Jest i bryczka na resorach zaprzęgnięta w dwa rosłe siwki, umajone gałązkami bzu, z podwiązanymi ogonami. Z wnętrza domu wysypują się ludzie, kobiety przy pomocy mężczyzn, podkasując długie kiece, gramolą się na siedzenia ze słomy obciążone kolorowymi pasiakami. Na samym końcu wychodzi z domu panna młoda prowadzona pod ramię przez pana młodego. Idzie krokiem dostojnym w otoczeniu najbliższych koleżanek i kolegów. Młodzi zajmują miejsce na tylnym siedzeniu bryczki, na koźle siada znajomy nam żołnierz, który jako starszy drużba ani na krok nie odstępuje młodej pary. Kilka dziewcząt siada na rozkładanym siedzeniu na wprost młodej pary. Orkiestra zaczyna grać marsza i najpierw bryczka, a za nią wszystkie inne wozy wyjeżdżają na drogę i kierują się w stronę kościoła. Nowożeńcy są mocno spóźnieni i dlatego też powożący podcinają konie. Za jadącymi wzbijają się w górę tumany kurzu, tak że prawie każdy wóz jedzie we własnym obłoku kurzu. Jedni drugich prawie nie widzą. Na samym końcu orszaku jedzie orkiestra, która przez cały czas dmie w instrumenty, ale dźwięki

muzyki porywa wiatr i gna gdzieś po polach. Orszak w galopie prawie skręca na drogę wiodącą do kościoła, na tę samą drogę, na którą przed kwadransiem skręcił kondukt żałobny.

Powozący bryczką starszy drużba z wysokości swojego siedzenia dostrzega na horyzoncie kondukt żałobny. Kondukt jest w połowie drogi pomiędzy wsią a kościołem. Powozący bryczką żołnierz odwraca się do pana młodego i biczem pokazuje mu gromadę ludzi na drodze idących za trumną. Pan młody przez chwilę zastanawia się nad sytuacją, jaka powstała niespodziewanie, zupełnie przez przypadek. Pogrzeb na drodze dla nowożeńców może być złym znakiem. Postanawia więc wyprzedzić żałobników. Mówi o tym żołnierzowi siedzącemu na koźle. Ten podcina konie. Konie ruszają galopem. Bryczka jak pijany zamiata po całej szerokości polnej drogi. Za bryczką ruszają wozy powożone przez ludzi młodych.

Nad całym orszakiem weselnym wzbija się teraz jeden długi tuman kurzu. Ludzie siedzący na wozach w zapamiętaniu krzykiem coraz bardziej płoszą zziąbane konie ociekające pianą z grzbietów i śliną z pysków.

Krzyki weselnego orszaku dobiegają do konduktu, idący za trumną, nie chcąc zostać stratowanymi przez galopujące z tyłu konie, idą w rozsypkę po pobliskim polu zasianym młodym żytem. Natomiast woźnica powozący trumnę, widząc, co się dzieje z tyłu na drodze, podcina własne konie i nie pozwala się wyprzedzić. Z wozów orszaku weselnego spadają ludzie i pomiędzy nimi a tymi, co szli za trumną, wywiązuje się najpierw kłótnia, a potem dochodzi do bójki. Tymczasem na drodze dalej trwa wyścig bryczki zaprzęgniętej w siwki i wozu, na którym podskakuje trumna. Na siedzeniu bryczki, trzymając się kurczowo oburącz siedzenia, tkwi jeszcze panna młoda i żołnierz na koźle. Pan młody, który wyskoczył już przedtem z bryczki, wdał się w bójkę. Na drodze wałęsa się wszyscy czym kto może. Nawet kościelny, zapomniawszy, że trzyma krzyż w rękach, goni po polu jakiegoś chłopca i okłada go z góry samą sztycą krzyża, albowiem ramiona diabli już wzięli.

W pewnej chwili na drodze, gdzie trwa wyścig bryczki z wozem, dochodzi do zderzenia. Bryczka z całym impetem uderza burtą o deski wozu i panna młoda wyrwana siłą z bryczki wpada na trumnę. Rozszalałe konie bez woźnicy skręcają z drogi w pole i półkolem zawracają w stronę wsi. Panna młoda rozciągnięta na trumnie trzyma się jej kurczowo, żeby nie spaść pod koła. Od karych koni i ciemnych desek trumny wyraźnie odcina się z daleka fruwały welon i długa suknia. Ktoś przytomniejszy, kto nie brał udziału w bójce, zatrzymuje konie. Starsze kobiety pomagają omdlałej pannie młodej zejść z trumny na ziemię. Panna młoda ma na sobie porwaną suknię, połowę wianuszka i na nodze jeden pantofelek, drugi zgubiła gdzieś w tym rozgardiaszu. Pan młody ma pourywane rękawy od marynarki i jedną klapę. Wszyscy wyglądają opłakanie: podarta odzież, podrapane twarze i ręce.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI